

Czy rzeczywiście odnaleziono grób żony Mieszka I?



Niedawno w Poznaniu rozeszła się pogłoska przywieziona z Gniezna, że w Katedrze Gnieźnieńskiej w czasie prac wykopaliskowych znaleziono płytę nagrobną Dąbrówki, żony Mieszka I, zmarłej w 977 roku. Byłoby to w związku z Tysiącleciem i zainteresowaniem, jakie budzą prace badawcze w podziemiach Katedry Gnieźnieńskiej — ważnym wydarzeniem.

Jedziemy więc do Gniezna.

Badania wykopaliskowe prowadzi tutaj dr K. Zurowski i mgr G. Miłojacki.

— Czy prawdziwe są pogłoski o odnalezieniu epitafium Dąbrówki? — zapytujemy prof. Zurowskiego.

— Nie tylko nie odnaleziono płyty nagrobnej Dąbrówki, ale nawet nie ma żadnych danych wskazujących na to, iż Mieszko I pochował tutaj swą żonę. Prawdopodobnie

Wojna przerwała prace wykopaliskowe.

Po wznowieniu ich już w czasie pierwszych badań stwierdzono, że teren objęty obecnymi granicami Gniezna, był zamieszkiwany od chwili pojawienia się pierwszego człowieka na naszych ziemiach, tj. od środkowej epoki kamiennej, czego dowodzą narzędzia krzemienne znalezione na pagórku piaszczystym między jeziorem Jelonkiem a Dziekaną. Początki obecnego Gniezna sięgają

VIII w. Już wtedy osada ta miała charakter obronny.

JAK ŻYLI GNIEZNIANIE TYSIĄC LAT TEMU?

Wykopaliska w Gnieźnie nie tylko rzuciły światło na budownictwo obronne i mieszkalne, ale również na gospodarkę mieszkańców w czasie od VIII do XIII wieku. Każde niemal sięgnięcie w głąb zie-

(Ciąg dalszy na stronie 2)



Tak rozwijało się Gniezno: na rysunku u góry — gród (z lewej) i podgródzie ok. r. 800, obok — ok. 200 lat później. Rysował według ilustracji z wystawy archeologicznej w Gnieźnie — L. Kapczyński.

Dąbrówka znalazła wieczny spoczynek w kościółku tzw. książęcym.

— Ale przecież musiał być jakiś powód...

— W czasie prac wykopaliskowych natrafiono na zagadkową tablicę z literami: *Hic jacet...* Reszta napisu była zarta. Zbadano wydobyte spod niej kości. Okazało się, że są to kości męskie i pochodzą z XV czy XVI wieku.

Mimo to fakt powstania i kolportowania pogłoski dowodzą, że społeczeństwo wielkopolskie wyczuło jest na wszystko, co wiąże się z początkami naszego państwa.

WYKOPALISKA DAJĄ ŚWIADECTWO

O początkach stolicy państwa polskiego wiemy stosunkowo mało. Najdawniejsze przekazy historyczne nie sięgają dalej niż do końca X wieku. Dopiero prace wykopaliskowe pozwoliły bardziej poznać dawniejsze dzieje Gniezna, poczynając od VIII wieku n. e.

Nie mogło to się stać za czasów pruskich, gdy zacieraną wszelkie dowody polskości tej ziemi. Toteż prace rozpoczęto dopiero w 1925 r. a prowadzili je początkowo prof. K. Jazdzewski i biskup Lubitz, następnie prof. W. Hensel i Łuczyczanin mgr Wojciech Koczka. Wyniki tych prac ogłoszone zostały w zbiorowej publikacji pt. „Gniezno w zaraniu dziejów od VIII do XIII wieku w świetle wykopalisk”. Niemcy po zajęciu Poznania w 1939 r. zniszczyli niemal cały nakład tej książki; ocalały jedynie pojedyncze egzemplarze.

Już od 1850 r. liczni naukowcy zapowiadają światu — bliżej nie ustalone w terminie — wydarzenie: możliwość zbliżenia Księżyca do Ziemi, które wywoła na niej wielkie przypływy oceanów, podniesie na nich fale na setki czy tysiące metrów, czyli spowoduje potop, wobec którego ów, znany nam z biblii — byliby fraszka.

Możemy się jednak uspokoić: nie nastąpi to przedk, o ile w ogóle nastąpi. Teoria ta, wysunięta po raz pierwszy przez uczonego E. Roche, jest dziś poważnie kwestionowana przez naukę, 50 miliardów lat bowiem trzeba, aby Księżyc osiągnął maksimum odległości od Ziemi, drugie 50 miliardów lat potrwa jego powrót. Mamy więc przed sobą dość dużo czasu do momentu, gdy ewentualna katastrofa księżycowa pociągnie za sobą ewentualną zagładę naszej Ziemi.

Poważnym niebezpieczeństwem dla Ziemi mogą być meteoryty. Jeden z nich, który zawitał do nas w r. 1908,

Kiedy nastąpi

„koniec świata”?

MOŻEMY SPAĆ SPOKOJNIE

mógł zmieść z powierzchni Ziemi duże miasto, gdyby nie to, że — na szczęście — spadł na bezludne rejony Syberii. Krater wywołany przez owego pozaziemskiego przybysza miał 8000 m średnicy. A gdyby tak spadł większy meteor, albo też gdyby ich było więcej? Podobno jednak potrzeba aż kilkadziesiąt milionów ton meteorytów dla zniszczenia naszego świata, a prawdopodobieństwo takiego „deszczu meteorytów” jest znikome. Jak więc widać, Wszechświat nie dybie znów tak bardzo na naszą skromną planetę.

Wiele też zawiądzamy niezawodności „rozkładu jazdy” we wszechświecie. Bo gdyby tak i tam się coś ziemskim zwyczajem spóźniało...

Uczony angielski Lyttleton prze powiada koniec świata wskutek wyczerpania się zapasów paliwa na Słońcu. Zimno, coraz zimniej, wreszcie — wieczny mróz... Inni zwolennicy tej teorii odrzucają pojęcie „wieczysty”, twierdząc, że era lodowa potrwa tylko przez pewien czas, po czym Ziemia ma się znowu rozgrzać do temperatury wrzenia.

Słońcu zresztą przepowiadają uczeni inny jeszcze koniec. Ma się ono zmniejszać, przyspieszając obroty dookoła osi, aż wreszcie ta skondensowana energia nagłe rozprzestrzeni się, rozbiśnie — po czym wróci do swego centrum, zagarniając po drodze m. in. i naszą Ziemię.

Takie są — zapowiadane przez uczonych — możliwości końca Ziemi (a nie świata, jak to się potocznie mówi, gdyż świat już i dla nas obecnie na Ziemi się nie kończy). Wszystko to przewidziane jest na dość odległą przyszłość (za ileś tam miliardów lat). Trudno więc przewidzieć — czy i jak żyjące pokolenie tego doświadczy.

(K)

Z prac
Janiny Szczepskiej
wystawianych
w klubie MPiK w Poznaniu



U góry:
Etiuda portretowa (akwarela)

nżej:
Paryski wieczór (monotypia)

Fot. Grażyna Wyszomirska



LASANQUE RIVIERA

Już od wielu lat nikt nie wymawiał jej prawdziwego imienia i nazwiska. Zdarza się to, gdy ktoś gwałtownie zmienia swoje życie dla wielu różnych powodów. O świecie, jeszcze przed pierwszym rykiem syren fabryk północnej dzielnicy miasta, słyhać było jej drobne kroki, jak pięła się wąskimi, wyboistymi uliczkami do niewielkiego kościoła Świętego Sebastiana. Z kąta, obok drzwi do zakrytych, wyjmowała miotłę, wiadro i szufel, by bez zwłoki przystąpić do codziennych porządków. Po dwu kwadransach przychodził siwy, zgarbiony nieco staruszek w sutannie. W wejściu z trudem wstawał z kłęczek, szedł dalej i dobrotliwie witał zamiatającą kobietę. Wtedy mogła odejść. Z powrotem, ze wzgórz, krętymi tunelami uliczek zbiegała do siebie na skraj dzielnicy, skąd słyhać było morze. Wychylając się z okien lub stojąc w drzwiach domów kobiety, pytały ją o zdrowie, pogodę, pozdrawiały lub rzucały jakiś żart. Odwracała wtedy, zeszpeconą czerwonymi bliznami twarz, uśmiechała się nieco, by odpowiedzieć w takim samym, przyjaznym nastroju.

Tuż przed domem zastąpiła sprawę poprzedniej pracy. — Chce was widzieć dzisiaj jak — Matka ma coś do was w

— Czy coś złego? — zapytała z niepokojem.

— Dłoo me libre! Nikomu nie przynoszę złych wiadomości. Ona chce was jeszcze coś zlecić.

— Dobrze, zaraz idę, tylko załóż inną sukienkę. Proszę poczekać na mnie.

Wysłała po chwili inaczej uczesana, w czarnej, szerokiej spódnicy.

— A porucznik przyjechał już? — zapytała, gwoździąc uprzejmości, gdyż był narzeczonym dziewczyny.

— Nie. Jest jeszcze w Sao Paulo. Załatwia interesy ojca.

— Czy pomyślnie?

— Z pewnością.

Dziewczyna zaśmiała się i zrobiła kilka tanecznych pas wokół kobiety.

— Uspokój się, Julio! — powiedziała Maria Inocenta.

— Al diavolo!

Szły teraz szeroką ulicą, zanurzona w willowych ogrodach. W niebieskawym asfalcie niewyraźnie odbijały się pnie drzew. Julia wyjęła klucze — przystając przed kutą z gruby, żelaznych sztab, bramą.

— Proszę, wejdźcie.

Zaprowadziła ją na tyły domu i stamtąd, małymi drzwiami do pokoju na piętrze. Maria Inocenta rozglądała się bez zbytniej ciekawości po sprzętach, dywanach, portretach na ścianie. Czuliła granicę między sobą a rodziną Julii, choćby w tym prostym „wy”, mówionym z cieniem wyższości. Dały się słyszeć szybkie, ciężkie kroki. Przez wpół otwarte drzwi wpadł okrzyk: „witajcie!” nim jeszcze senora Anna pojawiła się w całej swej okazałej postaci. Ta ogromna kupa tłuszczu w kwiecistym szlafroku i papilotach, krzątała się po pokoju, wyciągała co raz to nowe płótna, mówiąc: „Tu porobicie murek, jak przedtem. Tu zakończycie haftowanie, tu dorobicie koronki...”. Maria Inocenta zawinęła wszystko w szarą płachtę, przy niesionej przez służącą i zarzucała wszystko na grzbiet.

Szła powoli, często odpoczywając, pełna dziwnego spokoju i ciszy — uczucia, które w odległym dzieciństwie zagościło u niej dwa czy trzy razy. Żadnym gwałtownym i brutalnym ruchem nie mogła naruszyć harmonii otaczającego ją świata. Nawet zebrała na rogu ulicy otoczyły barwne kontury, jakby patrzyła przez kryształową szybę.

Zerwała biały kwiat magnolii z krzewu rosnącego pod murem. Niosła go przed sobą, jak promienne wspomnienie, jak gdyby była młodą, piękną kobietą kilka lat temu, zanim

twarz jej zeszpećła zazdrośna rywalka. Teraz nawet żalu do tamtej nie miała. Uwierzyła ostatecznie w prawo „kto nie ude rzy ten będzie bity”. Jedyne nocy coraz rzadziej zrywała się wściekła tęsknota za Antonio, tak wielką, jak rozpaczliwe wołanie skazańca o prawo do życia, dane wszystkim na początku. Wyjechał wtedy. Nigdy nie mogła tego zrozumieć. Zamiast Marii Luizy Rêrez — pierwszej tancerki San Sebastian, została Maria Inocenta, została zszpecona kobieta sprząająca codziennie niewielkie kościółki. Niosła więc przed sobą kwiat magnolii jak trwożliwe wspomnienie.

Późnym wieczorem ktoś zapukał do jej drzwi gdy siedziała jeszcze nad zwojem białych płócien. Wstała i poszła otworzyć. W ciemnej sieni majaczyła nie wyraźna postać wysokiego mężczyzny. Stał milcząc.

— Maria Luizza? — zapytał po chwili.

— Tak.

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór.

— Nie poprosisz mnie do siebie?

— Ależ proszę wejść!

Szedł w głąb mieszkania, utykając silnie. Zatrzymał się obok stołu nie odwracając twarzy. Podeszła bliżej i wtedy spojrzła na nią.

— Antonio... — szepnęła.

Stał chwilę zmieszany, potem Maria Inocenta zakrztętnęła się szybko po pokoju. Wrzuciła płótno do szafy, nakryła stół nowym obrusem.

— Napewno jesteś głodny. Za raz dam ci kolację.

I fruwała jak ciemny, zwinny ptak przez drzwi i wokół sprzętów. Nastąpiła wreszcie chwila

(Ciąg dalszy na str. 4)

GODZINA przed NOCĄ

Poziomki głowy skryły w kapelusze
w odgłosach śladu opuchły sterane
kleks sadzy rozlał się na pejzaż barw
sen ciepły ciała odebrał zmęczeniu
i pogodzeni z kształtami cieni
uratowane chronimy życie



SPLOT SŁONECZNY

Horyzont ziemi popłatany
z warkoczem czasu

zdarzenia życia
śmieszne jak włosy w rękach fryzjera

a w perspektywie nieskończoność
i panorama z okna wszechświata

Ryszard Danecki

ŁADOWANIE

tęcze śmigieł
traćą kolory

tarcze jarmarcznej strzelnicy

wyskakują
domki z czerwonym dachem
drzewa otyle

trafieni
koń z furmanem
pochyłają się na bok

ucho wylegarnia świerszczy
które zabija
noga postawiona na ziemi
kołyszącej się jeszcze

Aleksander Woiciechowski

LUDZIE

utopieni w szarym dniu
na dnie
znajdują białe muszle
obłoków

zawieszani w powietrzu
drganiu błękitnym
podtrzymują
walczy się strop



stopami po kamiennych płytach
rozwiła się
pióropusz rzeczy mijanych

i wcale nie wiedzą
że kiedy zmartwienie złoży czoło
wyrastają duże jak światło
skrzydła aniołów

KURANTOWE OCZY

w małych miastach sen
pachnie naftaliną
i rano
mleko z kozuchem
trzeba wypić

tu godziny
jeszcze raz tak wolno płyną
i nawet wiatr gwizdaniem
nudy nie potrafi wykipić

i tylko nocą
zegara kurant
kawki na ratuszowej wieży płoszy

latarnie gaszą mrok ulicy
i patrzą
jak twoje oczy



Il.: St. Mrowiński

W DZIECIĘCEJ
SZKOŁCE PLASTYCZNEJ

Około 70 dzieciaków w wieku od 5 do 8 lat zabawia się dwa razy w tygodniu w prawdziwych malarzy w Szkółce Sztuk Plastycznych dla Dzieci przy Sekcji Socjalnej Politechniki Warszawskiej. Dzieciarnia ma własną pracownię, prawdziwe i to najlepsze pędzle i farby, jakimi malują dorośli mistrzowie tej sztuki, no i stalugi, przy których „pacykują” — naturalnie na stojąco. Malują i rysują tak jak widzą, a widzą po swojemu nieraz inaczej niż naprawdę wygląda rzeczywistość. Szkołka jest doskonałą formą artystycznego wyzucia się dzieci. Stwarza właściwą atmosferę do rozwoju talentów dziecięcych.

Po rocznej pracy inicjatorzy mogą się poszczycić konkretnymi sukcesami: dyplom i dwie nagrody na Międzynarodowych Wystawach Sztuki Dziecka w Londynie i Tokio.

Na zdjęciu: laureatki nagród: Ania Filipczyńska i Dorotka Zarska.

CAF — Fot. Uchymiak

Sprawy literatury

Potrzebne czy niepotrzebne?

Zapewne Sartre czy Kafka nie mieli by tyłu czytelników, ilu ich obecnie mają, gdyby nie zwykły, jakże często spotykany snobizm. Niejeden uważa te i inne, podobne do nich w stylu książki za wyższy szczebel literackiego wtajemniczenia. Z tego względu chwali je nawet za obrazy i sugestie, które go w gruncie rzeczy rażą. Chwali po to tylko, by bardziej przekonywająco grać rolę intelektualisty wyrastającego „po nad” przeciętne, obiegowe gusty.

Ale grubo chyba uproszczymy sprawę, stwierdzając — tak po prostu — że zainteresowanie literaturą zachodnio-europejską ma swoje jedynie źródło w snobizmie.

Ostatecznie mamy raczej zdrową ambicję, by być społeczeństwem o szerokich horyzontach. Co więcej — współczesne warunki nie bardzo pozwalają na to, by można było nawet przy największych staraniach utrzymać atmosferę zaścianka doskonale obojętnego wobec tego co myśli i co robią bliżej, dalsi, a nawet bardzo dalecy sąsiedzi. Nie sposób odwracać się plecami od świata i od cudzych form rozwoju kulturalnego, bo świat by za bardzo zmalak.

Zarówno więc ze względu na naturalną ambicję, jak i ze względu na realną potrzebę — nie co głośnie w świecie, nie powinno być naszym społeczeństwu nieznane, nie, co budzi rzeczywiste, szerokie zainteresowanie u obcych — nie powinno być dla nas tajemnicą.

Ten obowiązek śledzenia „nowinek” literackich, analizy najciekawszych światowych zjawisk artystycznych i selekcjonowania ich na rzeczy przydatne i nieprzydatne dla nas — spada, rzecz jasna, przede wszystkim na zawodowych literatów, krytyków i dość szeroki w naszym kraju krąg szczerych entuzjastów literatury. A że w tej pracy usiłują wylączyć literackich konsekwentów, zwykli, powierzchowni, zarówno w potępieniach jak i w pochwałach, snobi? No cóż, niejeden raz tak bywa, że gdzie konie kuja — tam żaba nogę podstawi...

Literatura — jak wiadomo — odgrywa określoną rolę społeczną. Może więc — mimo wszystko — należy przyznać pierwszeństwo względem wychowawczym i w polityce wydawniczej ściśle selekcjonować książki na takie, które pomagają i nie pomagają w budownictwie socjalizmu? Może należy chronić naszych czytelników przed książkami przesycenymi nastrojem pesymizmu i beznadziei?

Żądanie, by literatura pomagała i doradzała ludziom: jak żyć, aby przeżyć życie możliwie najładniej — jest chyba żądaniem bardzo naturalnym. Ale z drugiej strony nie można nie liczyć się z faktem, że oddziaływanie wychowawcze książki na czytelnika przebiega w sposób nader skomplikowany i niełatwy do przewidzenia. Często książka pisana ze szczerą intencją by budzić entuzjazm — nie nawiązuje kontaktu z odbiorcą i wcale tego entuzjazmu nie podsyca. Podobnie książka sugerująca nader plastycznie, że żyć nie warto, na ogół nie zwiększa

*) Który zresztą — naszym zdaniem — nie zawsze jest zjawiskiem ujemnym; bardzo często odgrywa w upowszechnieniu kultury nie-małą rolę. (red.)

liczby samobójstw, nawet wśród zwolenników filozoficznego pesymizmu którzy przez ważne dbają o swe zdrowie i długie życie. Nawet drwina z wartości cennych społecznie niekoniecznie musi dezorganizować, czasami natomiast skutecznie rozładowuje narosłe kompleksy, a poufały ton wobec władzy może zbliżyć tę władzę do ludzi i niekoniecznie podrywać jej autorytet.

Jeśli chodzi zaś o importowaną do nas z zachodu literaturę eksperymentalną, literaturę niedwuznacznie przesyconą nastrojami wątpliwości, lęku, pasywności?

Jak wykazały doświadczenia naszej polityki wydawniczej ostatnich lat — obawy przed rozkładowym wpływem tej literatury były raczej przesadzone. Po początkowym zainteresowaniu tym, co przedtem było niedostępne, krąg entuzjastów tego typu doznał literackich zwęził się znacznie.

Jest to chyba zrozumiałe. Ostatnie dzieła Camusa, Beckett'a, Sartre'a, Kafki — wyrosły w innej niż nasza sytuacja społecznej i w innym klimacie kulturalnym. Złatwiają się one z problemami w wielu wypadkach nieprzeżywanymi przez nas, lub przeżywanymi w innej skali i płaszczyźnie, eksponują konflikty tam najaktualniejsze, a niekoniecznie aktualne u nas. Stąd zapewne dystans czytelników polskich wobec tych książek, dystans jaki się zachowuje wobec rzeczy ciekawych, ale, bądź co bądź „cudzych”, zewnętrznych, nie własnych.

Nie ma więc większych podstaw do obaw, by literatura wyrastająca z naszej społecznej gleby, literatura społecz-

nie najpotrzebniejsza — nie wytrzymała konkurencji literatury „importowanej z zachodu”. Oczywiście pod tym warunkiem, że nasza literatura tę walkę konkurencyjną ciągle będzie prowadzić, że zdoła się na coraz to nowe dzieła artystycznie dojrzałe, a zarazem trafnie nawiązujące do naszych doświadczeń, naszych konfliktów i naszych ambicji. Rzecz zrozumiała, że zarówno opinia czytelnika, jak i państwowy mecenat tej „naszej literatury” winna obdarzać możliwie najsukceszniejszą zachętą do rozwoju. Między innymi taką zachętą do rozwoju jest również doping w postaci świadomości, że czytelnik ma możliwość konfrontacji i porównania, zarówno pod względem formalno-warsztatowym, jak i pod względem treściowym — naszej i tej cudzej literatury.

Biorąc te wszystkie względy pod uwagę, wydaje się, iż dobrze się stało, iż na półkach naszych księgarń znalazł się szeroki wachlarz dzieł reprezentujących różne kierunki literackie, że nie lekamy się opublikowania nawet obcych nam światopoglądowo, ale dobrych, jeśli idzie o poziom, powieści i że czytelnik polski ma na czym krystalizować swe indywidualne gusty. Nie ma powodów, by wątpić, że główny nurt czytelniczego wyboru pójdzie we właściwym kierunku. A jak wiadomo — cnota będąca wynikiem świadomego wyboru jest o wiele więcej warta, niż cnota wypływająca z niewiedzy, lub lęku (często wyrażającego się w chorobliwej ciekawości) przed „trującym działaniem” owocu zakazanego.

T. JĘDRZEJEWSKI

Czy rzeczywiście
odnaleziono
grób
żony Mieszka I?

(Ciąg dalszy ze strony 1)

mi łopatą rozbijało twierdzenie Niemców o ubóstwie i niskim poziomie kulturalnym osady gnieźnieńskiej.

Mieszkańcy Gniezna, jak się okazało, byli doskonałymi rzemieślnikami. Posiadali wszystkie znane nam dziś zwierzęta domowe (z wyjątkiem królików), mieli dobrze rozwinięte ogrodnictwo i sadownictwo. Słabe są natomiast ślady rybołówstwa i, co zaskadza, znaleziono małą ilość kości dzikich zwierząt. Czyżby myślistwo uprawiano również tylko jako sport?

Wysoki poziom kultury materialnej pierwszej stolicy państwa polskiego zabłysnął najwspanialej w czasie zjazdu gnieźnieńskiego w 1000 roku, gdy Bolesław Chrobry podejmował cesarza Ottona III i wraz z nim delegata papieskiego Roberta, patrycjusza Ziazio i kilku kardynałów. Bolesław oślnął wówczas przepychem i bogactwem; może to wtedy zaczął wyłożyć posadzkę Katedry barwną mozaiką, której odkrycia w roku ubiegłym dokonała

Stacja Archeologiczna Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN.

TAJEMNICZA MOZAIKA

Odnaleziono mianowicie fragmenty ceramicznej posadzki o geometrycznym rysunku. Główny motyw ornamentacyjny stanowią dwa koncentryczne kręgi plecionki, ułożonej z segmentów pokrytych polewą granatową i żółtą oraz krążki z polewą granatową. Dokonane odkrycie w Gnieźnie reprezentuje swego rodzaju unikat, przynajmniej na terenie środkowej Europy, i mówi o wysokim poziomie wczesnośredniowiecznej kultury polskiej.

ŻOŁNIERZ
BEZTROSKI

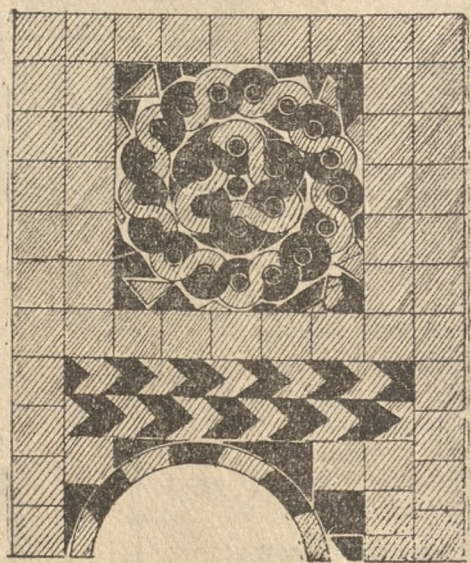
Wybredny czytelnik odłoży, być może, tę książkę już po kilkunastu stronach; ale też Zygmunt Wasilewski nie żywi najmniejszych ambicji literackich. Jest żołnierzem i pamiętnikarzem, spisywaczem przygód wojennych, rzetelnym informatorem o drogach swych podczas wojny, wiodących z pałacego Września — śladem dziesiątków tysięcy co broni złożyć nie chcieli — poprzez Rumunię, Bliski Wschód, Północną Afrykę do Francji i W. Brytanii, by tam pełnić dalej swą służbę lotnika.

„Obyś żył w ciekawych czasach”, tytuł — prześmieszka, tytuł — drwina — jest również dokumentem obyczajowym, moralnym wizerunkiem ludzi, obok anegdoty o wojaczce i perypetiach, znanych zresztą skądinąd. Daje ta książka obraz kształtowania się wojskowego właśnie obyczaju, pozwala domyślać się przyczyn, dla których stosunek do życia tych ludzi w mundurach i potężnych globtrotterów zarazem, tak bardzo przesieknięty humorem, drwiną łagodną, cynizmem niekiedy obracamym w żart. I język tutaj osobliwy króluje: język, chce się powiedzieć, po wojskowemu lapidarny i jedyny po wojskowemu „mięsiasty”, jednoznaczny — mowa placu koszarowego, osładzana trochę na użytek kasyna lub dla kontaktów z ludnością cywilną.

Ktoś tam zżymał się na książkę Wasilewskiego. Mówiono: niewydarzona, mówiono: silenie się na wątpliwy dowcip, itp. Oczywiście: kto psa chce uderzyć — kij znajdzie. Można tu i ówdzie wytknąć autorowi przesadę, zachwianie proporcji. Lecz jeśli o wojnie, o trudach wojennej tułaczki, o klęsce Francji, o walkach powietrznych nad W. Brytanią i o późniejszych perypetiach w sposób spostrzegawczy i pełen humoru ktoś opowiedzieć potrafi — to cóż? Można tę książkę z czystym sercem zalecić Czytelnikowi.

P. B.

Zygmunt Wasilewski: Obyś żył w ciekawych czasach, wyd. „Pax”, str. 288, 1958.



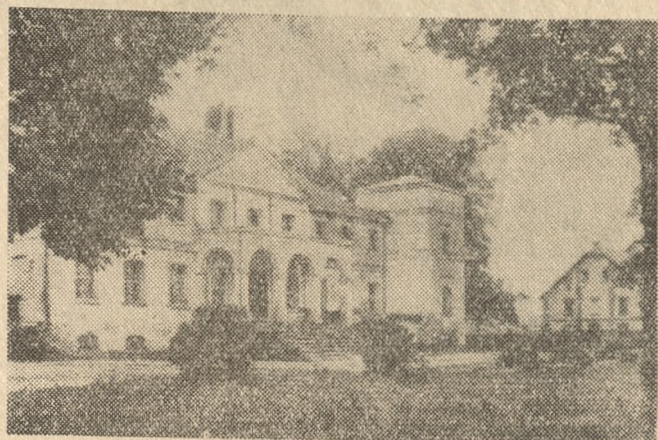
Tak wyglądała posadzka mozaikowa odkryta w podziemiach katedry w Gnieźnie.

Skąd się znalazła mozaika w budownictwie sakralnej na zachodzie Polski? Będzie rzeczą historyków wyjaśnić tę zagadkę. Na wschodzie stanowi ornament powszedni. Może więc już wtedy wpływy kultury Bliskiego Wschodu sięgały do Wielkopolski? Jest rzeczą charakterystyczną, na co zwrócił uwagę prof. Żurawski, że płytki posadzkowe osadzone są na gipsowej zaprawie murarskiej, takiej samej, jaką znaleziono w preramarskiej budowlu na Ostrowie Lednickim.

Prace wykopaliskowe w Gnieźnie trwają dalej. Mogą więc przynieść jeszcze inne odkrycia, wzbogacając naszą wiedzę o początkach osadnictwa w Gnieźnie, a następnie o pierwszeństwo stolicy Polskiej.

Henryk BARAŃSKI

W 162 rocznicę marszu z ziemi włoskiej do Polski



Stary dwór z roku 1770 w Winnogórze, gdzie mieszkał gen. J. H. Dąbrowski. Widok dziś już nie istniejącego dworu uratował od zapomnienia... obywatel Czepin — L. Durczykiewicz, który własnym nakładem wydał w roku 1912 album „Polskie Dwory w Wielkopolsce” i tam wśród setek innych zamieścił także fotografię dawnego pałacu winnogórskiego, którą reprodukujemy.

Pamiętek dziś już nie ma żadnych. Pamiętnik generała o legionach, pałacu po Sobieskim, szablę od Kościuszki oraz całą bibliotekę i zapas historycznej broni, w myśl testamentu Szaniecki przestał do warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Część tych pamiątek można oglądać jeszcze w Muzeum Narodowym w Warszawie.

W styczniu 1797 roku gen. Jan Henryk Dąbrowski wydał odezwę proklamującą utworzenie legionów. Można by scharakteryzować go krótko: z urodzenia — krakowianin, z krwi — pół-Niemiec (matka Niemka), z zawodu — oficer, z działalności — gorący patriota, generał polski, a wreszcie z łaski Napoleona... obszarnek wielkopolski.

Do 11 lat wychowywał się w rodzinnym podkrakowskim Pierzchowie, którą to wieś otrzymał jego dziad od Jana III za waleczność w potrzebie wiejskiej. Ojciec — major saski zabrał chłopca do siebie

i przysposobił do zawodu wojskowego. Po 22 latach służby przeszedł do wojska polskiego. Przewodził powstaniu kościuszkowskiemu na terenie Wielkopolski. W r. 1797 tworzył legiony we Włoszech. Prawie 10 lat później na ich czele wkroczył do Poznania (chwilę te opisuje M. Mott).

Generał spędził na polu walki 17 lat, stoczył 14 bitew, 3 razy był ranny. Po klęsce napoleońskiej osiadł w Winnogórze, ofiarowanej mu przez Wielkiego Kaprała wraz z kluczem dóbr sołectwa-winnogórskich, obejmującego także Środę i Pyzdry. Jako jeden z pierwszych uwłaszczył chłopów w: Henrykowie, Tadeuszowie i Bronisławiu. I tu około niego zbierali się współtowarzysze broni, tu koncentrowała się polska myśl niepodległościowa. Do Winnogóry przyjeżdżał też Ludwik Szaniecki, który w swoim pamiętniku pisze:

„Dąbrowski opowiadał nam wydarzenia rewolucji kościuszkowskiej, okoliczności upadku ojczyzny, którą tylko Polacy gotowi są ubóstwiać, szczególny tyżące się legionom, na koniec nam powtarzał konieczność utrzymania ducha narodowego i cieszył nadzieją, że gdy ten duch utrzymamy będzie, znowu poda się pora odzyskania bytu i niepodległości...”

Ppłk. Ludwik Szaniecki — realizator testamentu generała — w 1819 roku zalecenia i myśli jego przekazał Walerianowi Łukasiewiczowi. Z wolnomularstwa (wnet skłóconego) wyłonił się w Wielkopolsce Związek Kosynierów i kilku innych związków o różnych zabarwieniach.

Pogrzeb J. H. Dąbrowskiego odbył się 13 czerwca 1818 r. w Winnogórze.

Dziś pałac, sprzed 50 laty postawiony na miejscu dawnego w którym mieszkał generał, nie przedstawia miłego widoku. Przeciekła, rynny zniszczone, w pokojach grzyb. Wycieczki na tym szlaku Wiosny Ludów (Miłosław 4 km!) zagładają tu i kiwają głowami nad gospodarką miejscowych ludzi. (p)

W jednym z poznańskich, przedwojennych gimnazjów odbywa się egzamin dojrzałości. Profesor dr Kazimierz Cwojdzinski zadaje pytanie: „Proszę wymienić trzech wybitniejszych matematyków”. Kandydat, z rodzaju mniej lotnych, wydusza najpierw Pitagorasa, po zadumie dodaje Eulera, wreszcie utyka. Egzaminator stał tyłem do Wysockiej Komisji, nie zauważył więc jak jeden z jej członków, przechylając się ku przewodniczącemu, żartem wskazał na jego plecy. Gest ten jednak zauważył kandydat, szastnął szarmancko pedałami i rąbnął z ukłonem: „Pan profesor Cwojdzinski!” Wrażenie było piorunujące, a prof. C. tak się obruszył, iż wiele trzeba było perswazji by go ulagodzić. Nie dlatego, że padło jego nazwisko, ale że kandydat... „taki głupi, tak się dał nabrać”.

Wspomnienia o dr. Kazimierzu Cwojdzinskim — a minęło już 10 lat od jego śmierci — mogą być tylko pogodne. Był to człowiek mądry, arcy-mądry, zawsze opanowany, wytworny,

Nazwiska winowajcy list nie zawierał, za to opis był aż nadto przejrzysty. Policja pruska nadała dokumentowi bieg urzędowy, posyłając go okólnikiem wszystkim gimnazjom w Poznaniu do wiadomości i wypowiedzenia się. Wszyscy wiedzieli o kogo chodzi, cały świat belferski domyślał się kawału, ale co się profesorzyśko struło, to się struło. „Najzabawniejsze — kończył wspomnienie prof. C. — że on był pewien mego autorstwa, a ja mu patrzyłem w oczy z wyzywającą niewinnością. Nie dokuczał mi już jednak więcej”.

Lata mijaly, uczeń Cwojdzinski zdał maturę, zaczął studiować (matematykę w Berlinie i Zurichu), nadeszła 1 wojna światowa. Młodego matematyka powołano m. inn. na wykładowcę „Technicum für Hoch-und Tiefbau”. Już wtedy jego kapitalny talent dydaktyczny ujawniał się w pełni. Kiedy w roku 1921 wrócił, na stałe do Polski, jeden z jego adeptów, Hindus Fundell Malchut, kontynuował z nim współpracę, przebywając okresowo w Poznaniu. Kazimierz Cwojdzinski doktoryzował się na Uniwersytecie Poznańskim w r. 1924 (w czasie przygotowywa-



aktualnych pozycji dydaktycznych i metodycznych. Publikował w lwowskim „Muzeum”, poznańskim „Parametrze” czy warszawskiej „Matematyce”. Jego pomysły dydaktyczne budzą zainteresowanie, jego inwencja metodyczna zadziwia.

A może który z jego uczniów przypomina sobie ten wierszyk, jego kompozycji, pomagający zapamiętać „pi” do 23 miejsca za przecinkiem?

Kuś i orać w dzień zawzięcie,
Bo plonów nie ma bez trudu!
Złociście szczęścia okręć,
Koliszesz...
Kuś! My nie czekajmy cudu.
Robota to potęga ludu!

(3,14159 26535 897 9 32384 6264)

Pod koniec życia niedowidział. Wykladał geometrię wykreślną na SI rysował prawie z pamięci i na ślepo. Obecny na wykładzie asystent czuwał nad „końcówkami”. Kiedyś, bodaj w r. 1947, coś tam na tablicy nie „dościągnął”. Wtedy z sali odezwał się damski głos: „Panie Profesorze! Tam te linie...” W międzyczasie asystent uzupełnił drobniak. Ale stary „Cwojda” nie darował. Odwrócił się do sali. O tym, żeby rozpoznawał twarze choćby w trzecim rzędzie, nie było mowy. Mówił więc w przestrzeń, do „nieznajomej i niewidzialnej”: „Pani Koleżance serdecznie dziękuję za pomoc. Pani głos przypominał mi głos gości kapitołińskich, które... też... ocaliły Rzym!” Na sali zrazu cisza, a potem gaudium rozgłośnie.

Takim już był profesor Cwojdzinski. Mimo wszystko nie starzejący się, jak na swej fotografii na legitymacji tramwajowej. Przez całe życie używał tej jednej — z podobizną kilkunastolatka. Zniecierpliwionych czy zdziwionych kontrolerów i konduktorów uspokajał perswazją, iż przecież to nie jego wina, że lata go odmięły. Toteż ten właśnie konterfekt przedstawiamy.

Wiktór TUTEJSZY

WĘDRÓWKI PO STARYM POZNANIU

PAN PROFESOR CWOJDZIŃSKI

może nawet nieco uderzająco wytworony. Przy tym dysponował niewyczerpanym zapasem humoru i pozytywne sarkazmu. Obserwator unikliwy i talent dydaktyczny. Wobec klasy czy słuchaczy akademickich, nawet wtedy, pod koniec życia, gdy bardzo cierpiał i prawie oślepił, był zawsze uśmiechnięty. Była to manifestacja wielkiej siły woli. Nie był oryginalny choć był niewątpliwie oryginalny. Miał też swoje „hobby” — żonglerkę.

Urodzony w r. 1878 w Wilkowie (woj. poznańskie), chadzał do szkół w Poznaniu. Zrazu do Gimnazjum Marii Magdaleny. Wkrótce jednak przenosi się do Gimnazjum Bergera. Przyczyna była dość osobliwa, bardzo dla „Cwojdy” typowa. Wraz z bodaj trzema kolegami (a było to gdzieś ok. r. 1893) powycinał rozmaite litery z gazet, spótka hultajska skomponowała z nich afisz zapowiadający przedstawienie z dyrektorem i profesorami jako wykonawcami i — nalepiła go na „litfasie” przy Marynce. Wisi tam przez kilka godzin, potem go zdjęto.

Konspirację zaprzysięgli weseli spiskowcy zapewne na katechizm. Jednak ojciec Kazika, który dowiedział się o figlu, miał doświadczenie życiowe i nie wierzył w doskonałość takiej poufności. Przejornie więc przeniósł syna do Gimnazjum Bergera.

I tam życie „szkółnika” nie toczyło się naszemu bohaterowi bez przeszkód. Sam, od najmłodszych lat pierwszorzędny matematyk, nie znalazł przyjaciela w osobie Pana Oberlehrera od matematyki. Toteż adept postanowił odgrzyść się, przy czym zdecydował się na pomysł raczej szatański. Ułożył po niemiecku list, niby od „porzuconej przez Pana Profesora niewinnej istoty”, która zmuszona okolicznościami, opuszcza ten świat, ale kocha swego krzywdziciela i kochać będzie poza grób”. List włożony został do butli po piwie (miała dobre zamknięcie!), butle obciążono i omotano obficie sznurkami i pakulami, w końcu mściciel zapiął narzędzie pomsty opodal znanego miejsca przy brzegu szelągowskim. Tam gdzie co najmniej od czasów Napoleona poznańscy wędkarze uczą robaki pływać. Sam zaś schował się opodal w „kierkach”. Nie czekał długo, wkrótce jeden z wędkarzy wyłowił butlę. Kazio Cwojdzinski poszedł lekim krokiem do domu, na brzegu odbywało się poszerzone plenum wędkarzy, kibiców i przechodniów. Plenum uchwało przekazać wylowionemu dokument samemu przeydium policji (tam gdzie dziś przy Placu Wolności parkują samochody).

nia się do rygorozów nie golli się przez szereg tygodni). W r. 1929 mianowano go ministralnym instruktorem matematyki, od r. 1930 kierował matematycznym ogniskiem metodycznym w Poznaniu. Po roku 1945 był profesorem Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu, a równocześnie wykładał na Uniwersytecie Poznańskim dydaktykę matematyki i matematykę dla przyrodników.

Okres drugiej wojny światowej był dla niego bardzo ciężki. Mieszkał zrazu na Chwaliszewie, w pokoiku o pow. kilku metrów, kwadratowych. „Mieszkanie” oddzielone było od dykretnej ubikacji przepierzeniem z dykty z jednej strony, od kuchni z drugiej. Profesor siadał z uczniem na łóżku, a stolik imitował półka uwieszona na ścianie. Profesorskie ruchomości — pedzel do golenia, szczotki itp. — wisiały na sznurczkach na ścianie. By wejść do mieszkania, trzeba było dzwonić. Nie było jednak guziczka; w ścianie na zewnątrz drzwi wystawały dwa gwoździe. Wtajemniczeni przykladali do lepków gwoździ monetę i wtedy odzywał się dzwonek. Później już profesor przeprowadził się na ul. Długą, gdzie miał nieco lepsze warunki.

Był — jak się rzekło — wspaniałym dydaktykiem. Pogodnym nad wyraz choć wymagającym. Jego spuścizna piśmiennicza obejmuje szereg cennych prac, ciągle jeszcze

ASTRONAUCI spod TATR

Pamiętacie ludowe opowieści o czarownicach latających na miotłach podczas sabatu?

Seweryn Goszczyński — poeta, pisarz, zbieracz folkloru środkowej Polski, muzealnik i działacz społeczny, był jednym z niewielu Polaków, którzy przekładali uroki rodzimego kraju nad zagraniczne wojaże. Znał dobrze Tatry, Góry Świętokrzyskie, Pieniny. Przez łom Dunajca oczarował go tak bardzo, że przez długi czas mieszkał w tej okolicy. Z tych wędrówek pozostał wcale okazały pamiętnik.

blarzu, mechaniku i pilocie-konstruktorze.

SKRZYDŁA
JANA WŃKA

Wnek był chłopcem pańszczyźnianym; przez wiele lat rzeźbił, pozostawiając spory dorobek, a także — latał ze szczytu kościelnej wieży.

Kilka lat trwały loty Jana Wnka. A nie były wcale takie małe: kościół w Odporyszowie dzielił od Kaczówki cztery kilometry. Wnek wchodził na szczyt dzwonnicy, stawał w oknie, przypinał skrzydła, jego najbliższy współpracownik — Sowiński — lekko go popychał i Wnek leciał, machając skrzydłami ni by ptak. Nigdy jednak, mimo prób, nie mógł wnieść się z ziemi na szczyt wieży...

Jaka była przyczyna katastrofy Wnka — nie umiejętnie skonstruowane nowe skrzydła, czy zawiść Sowińskiego — nie wiadomo. Pewnego dnia spadł pod lasem, złamał nogę i potknął się ciężko. Przeniesiony przez sąsiadów do domu nie mógł już chodzić; przez długi czas chorował. Nieustannie rozpytywał ludzi, czy ktoś używa jego skrzydeł. Niestety — takich śmiazków nie było w Odporyszowie ani w Kaczówce...

Interesujące : t porównanie kroju skrzydeł Wnka i Leonarda da Vinci; są one do siebie podobne w ogólnych zarysach.

Andrzej CZARSKI

Niemal wiek minął od wypraw Seweryna Goszczyńskiego w Góry Świętokrzyskie; to też to, o czym pisał na kartkach swego pamiętnika, dotyczy — gdy chodzi o rozwój techniki — lat prawie niemożliwych. W owych czasach ani car rosyjski, ani zaborca austriacki czy pruski nie dbali o rozwój techniki w naszym kraju. Podczas gdy w innych krajach powstawały towarzystwa naukowe, w Polsce o studiach technicznych było niemal zupełnie głucho... Tym bardziej interesujące są obserwacje przez Goszczyńskiego próby latania przy pomocy skrzydeł, podejmowane przez — zwykłego górala.

LEGENDA,
CZY PRAWDA?

„Kilka lat poświęcił on wymyśleniu i zrobieniu skrzydeł. Mniejsze próbki zadowalały go i utwierdzały w zamiarze: przyszła wreszcie chwila próby na większą skalę. Zaczął od da-

chu własnej chałupy i poszło mu pomyślnie; to go ośmieliło na większą wysokość. W tym celu wyszedł na skalę znacznej wysokości, rozpuścił swoje skrzydła, wzleciał, ale nie mógł utrzymać się długo w potrzebnej równowadze, spadł na ziemię nie po ptaszymu i obie nogi zламаł...” — pisze Seweryn Goszczyński w swym dzienniku podróży po Tatrach.

Bohaterem opisu poety był góral, którego nazwiska niestety Goszczyński nie podał. Góral ów nie był już młody; znał historię Tatr, wiele „gadek” i klechd góralskich. Jedną z nich opowiadał najczęściej; o mnichu, który na skrzydłach umiał się wzniesić na szczyt Mni-cha w Tatrach. Stąd rze kono wzięła się nazwa szczytu...

Mijają lata, przybywa wspomnień. Warszawska prasa donosi o coraz to nowych ludziach, którzy obserwując ptaki decydują się latać w powietrzu. Sensacją są informacje (1868 do 69) o Janie Wnku, rzeź-

Nowości z kraju i ze świata

W USA wykonano prototyp maszyny automatycznej do sortowania listów według adresów. Przy jej pomocy można w ciągu godziny przesortować ok. 36.000 listów z podziałem na dowolną ilość grup. Sortowanie odbywa się za pomocą urządzenia elektrycznego, a do obsługi całej maszyny potrzebny jest tylko jeden operator.

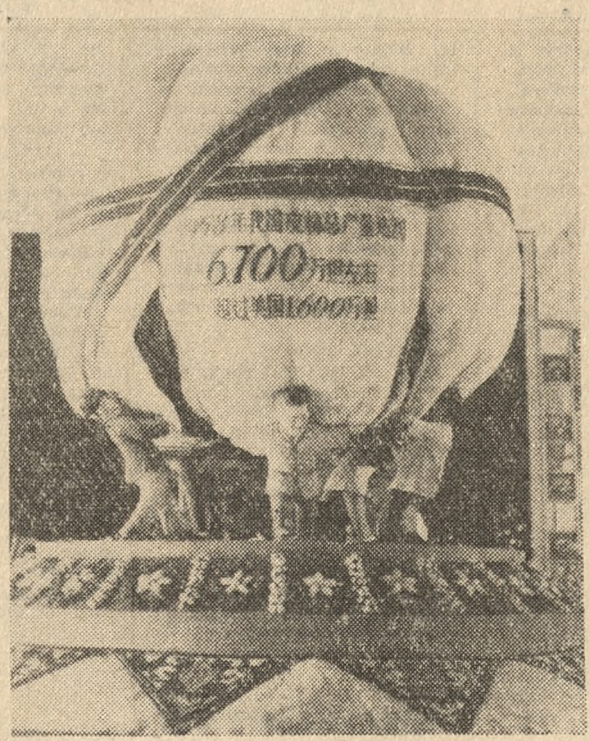
Zasadniczą częścią tej maszyny jest przenośnik z łańcuchem obiegowym, zawierającym kieszenie na poszczególne listy. Specjalne urządzenia elektromechaniczne steruje wypadaniem listów z kieszeni podczas ich przebiegania nad odpowiednimi skrzynkami. Przy każdej kieszeni pręt stalowy z 12 rolkami z nylonu zamyka otwór, przez który może wypaść list. Przesuwając rolki można utworzyć 4006 kombinacji układu rolek. Przy mijaniu właściwej skrzynki, rolki obsługujące daną kieszeń uchylają się, a list wpada do skrzynki.

Przenośnik wychwytyuje ze stosu pojedyncze listy i ustawia przed operatorem w maszynie do drukowania. Po wydrukowaniu symbolu na odwrocie koperty, operator naciska jeden z czterech guzików: na listy miejscowe, zamiejscowe, lotnicze, inne. Drukowanie symbolu na liście i wstępne sortowanie trwa kilka sekund. Urządzenie elektromechaniczno - optyczne odczytuje symbol adresu i ustawia odpowiednio 12 rolek nylonowych obsługujących daną kieszeń — co trwa 0,1 sek. W aparacie przedstawiającym znajduje się zespół 64 tarcz ze stali, a na każdej — 40.000 wytławionych małych wgłębień. Zadaniem zespołu jest przekształcenie impulsów optycznych na impulsy powodujące właściwe przesuwanie się rolek.

(K)

Model belii bawełny wystawiony na Wystawie Rolniczej w Pekinie obrazującej osiągnięcia roku ubiegłego. Wielkość jego odpowiada osiągnięciom — produkcja bawełny — surowca wyniosła w Chinach Ludowych w 1958 r. 3.350 tys. ton tj. o 800 tys. ton więcej niż w Ameryce.

FOT-CAF





„CHCĘ BYĆ GWIAZDĄ“

Ba, która z pięknych dziewcząt — także i u nas nie ma takich pragnień? Film pod tym tytułem, zrealizowany przez twórcę pamiętnego obrazu „Jutro będzie za późno” — L. Moguy — przypomina o tym, iż sprawa ta nie jest bynajmniej najłatwiejsza, a nawet niekiedy prowadzi do tragicznego finału.

Jak wyglądała (autentyczna zresztą) historia kariery francuskiej kandydatki na gwiazdę — zobaczmy na ekranie.



„GRZECH“

Wkrótce zobaczymy również nowy film produkcji jugosłowiańsko-niemieckiej pod frapującym tytułem „Grzech”. Jego tematem jest wiecznie aktualny problem złamania surowych kanonów prawa obyczajowego przez młodą i piękną dziewczynę wiejską. W filmie tym będziemy mieli okazję zobaczyć Ruth Niehans i Wiktora Staal.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI

Nagrody książkowe za poprawne rozwiązanie ostatniej krzyżówki (rozwiązanie obok) otrzymują — drogą losowania: Irena Muzyk, Lech Janicki, Henryk Malik i Bogusław Mann (z Poznania) oraz Agata Chomiak z Wolsztyna i Leon Ignatowicz z Nowego Tomyśla.

Nagrody wyślemy pocztą.

K	A	F	K	A		A	S	T	M	A
A	A	R	O	G	A	L	T			
C	E	G	L	A		A	M	E	B	A
A	A		G	A	T	U	N	E	K	
P	A	S	T	O	R		R	Y	K	I
T	A	O	N		T	A		O		
K	R	A	B		G	U	J	A	N	A
A	E	R	O	F	O	R		D		G
S	K	A	L	A		B	O	R	D	O
K		B	E	R	T	A		E	R	
I	T	A	K	A		N	E	S	C	A

Za tydzień — nowa krzyżówka!



(Do kończenia ze str. 1)

milczenia. Wtedy Antonio odlał kęs chleba i zanurzył tyłek w talerzu. Maria Inocenta siedziała wpatrzona w niego, gotowa na każde najdrobniejsze skinienie biec gdzieś, przy nosić, spełniać wszystkie jego polecenia.

— Najadłeś się?
— Tak.
Wyjął z kieszeni pudełko papierosów. Zapalił. Chwilę zatrzymał wzrok na jej twarzy. Odwróciła się szybko.

— To Julia Zápoteo.
— Wiem. Przysłała mi listy. A dlaczego ty nie pisałaś do mnie?
— Uśmiechnęła się bezradnie.
— Chyba sam wiesz. Nie potrzebuję mówić tego. Dlaczego przyszedłeś do mnie, a nie do niej?
— Bala się powiedzieć to głośno, by nie rozbić swego szczęścia, nie zamrozić go, nie zmusić do ucieczki. Antonio mówił sam:
— Tak znalazłem się we Fran-

„BIGOS UPITY ODSZEDŁ od SIEBIE...”

WŁOSKI KARNAWAŁ w POZNANIU

Potrafił Poznań bawić się z fantazją zgola niezwy- czajną, wymyślać zabawy, igrze i krotchwilę, o których głośno było w całej Rzecz- pospolitej, po prymat sięgać w bogactwie i różnorodności strojów. Dziwili się czasem przybysze z bliższych i dal- szych stron, jak prędko i skwa- pliwie przyjęło w dostojnym grodzie Przemysława obczaje włoskiego karnawału. A że ochoczość była powszechna, przeto wnet stany rywalizację podjęły między sobą i w za- palach swych nie ustawały przez całe wieki.

Jeszcze nie zdołały przeniknąć do głębi hasła Odrodzenia, a już w po- łowie XV stulecia na italską modłę zaczęto urządzać publiczne pisy. Nie bez powodu wzrosły kregi lutnistów, piszczałkarzy i skrzyp- ków, których imiona notują wów- czas rejestry miejskie, barwiły się gospody i zajazdy, wielkie izby w kamienicach mieszczańskich i pa- łacach, szynki i winiarnie tak podle Rynku, jak i na przedmie- ściach. A jak tam jedzono, pito i bawiono się, skoro nawet miejski kronikarz notuje melancholijnie: „Bety dobre nasze mięsopusty”.

Kto przywiózł obyczaj włoskiego karnawału?

Może byli to Italicy miesza- czanie, którzy obywatelstwo poznańskie przyjąwszy, zamie- szkali przy Starym Rynku? Może wędrowni kupcy, któ- rych gród Przemysława, po uzyskaniu prawa składu i roz- szerzeniu jarmarków święto- jańskich, przyciągał jak stroj- na białogłowa? A może po pro- stu gromady wędrujących po Europie igrzów?

Pewnym jest wszakże, iż mistrz Jan Baptysta di Quadro ze swą rozbrykaną kompanią znalazł już oho- czość przyjęcie w domach naj- znamienitszych rajców. Znano zatem dobrze nowy obyczaj i wiele sobie obiecywano po gościach z Południa. Jakoż nie- którzy z znacznych mieszczan aż do przysytu doznali swawoli kom- panii, i bramy przed nią musieli zawierać.

Kymy na cześć karnawału

Chociaż często nieudolne i pozbawione cech poezji, odda- wały przecież znakomicie na- strój okresu ogólnej zabawy. Najpierw drukarz Jan Wolrat próbuje sam sztuki rymotwór- czej:

„Uderzcie w kalamaje, w pis- czalki złożone, w głośno brzmiące kornety, w lutnie nastrojone”. Tak zaczyna się zabawa. A z kolei Bacchusowi trza hold od- dać. Przypomina więc wielkopo- lski poeta Kasper Miaskowski, że karnawał... „Twojej o Bache, nie zgładził pamiętki”. Pito więc wiele.

Szczególną zaś sławą cieszy- ly się winiarnie przy ulicy Wronieckiej. Ślad tego odnaj- dujemy w intermedium ludo- wym pt.: „Bigos upity od- szedł od siebie”, które niby ma stanowić przestrożę, ale w rzeczywistości nikogo nie prze- konuje.

„Otoż masz, niezgorzej ci nia- Bodaż diabli na takiej uczcie przebywali. Dobrze wino waszmość, waszmości dobre zdrowie. W brzuch piwo, a rozum co dalej mniej w głowie. Podpiwszy zgubiłem się i szukać się muszę, Zgoła nie wiem, gdzie podział ciało i duszę” — śpiewa człek przyjąwszy mia-

no smacznej karnawałowej po- trawy. Z Włoch przysła też moda na

przebieranie się w dziewczę- stroje i maski.

Przeciągały więc uliczkami Starego Miasta kawalkady „maszkar” i „świątków”, a wraz z nimi — jak powiada — Miaskowski:

„Serbskie dudy i skrzypki osta- tek zagłuszają, gdy z maskami ode- drzw do pościelenia kłuszą”...

Ileż przy tym swawoli i kro- tochwil wyczyniano, można przekonać się w księgach gro- dzkich i miejskich, obfitych we wszelkiego rodzaju opisy. Szybko też zawiść powstała mię- dzy bogatymi mieszczankami a ich służebnicami. Ustawy zaczęto wydawać przeciw strojnisiom niż- szej kondycji społecznej, a gdy to nie poskutkowało, grzywny ścia- gano i z nich peregier przed ra- tuszem wznieziono. Czy ukrócono do końca przepych i różnorodność strojów, wątpliwe wypada, jako iż w żadnym wieku sztuka ta się jeszcze nie udała.

Skoro jadła i trunków nie brakło, a ochota do swawoli nową pożywkę znalazła w oby- czaju przebierania się w ma- ski i maszkarę

nowych szukano odmian

w płaszcach.

I znów poeta Miaskowski wymienia tańce włoskie „ka- preole” i „galiardę” w wier- szu:

„Wolę skoczyć ku górze kapreole lekko, I galiardę okrągłym wieść z panienką kołem”...

Znając rodaków skłonność do nowości, łatwo wyobrazić sobie, jak powszechny był za- pał ku ówczesnym „rock’om” i „mambom”.

Józef MODRZEJEWSKI



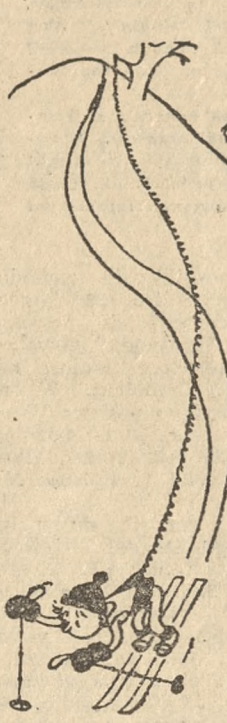
W ciągu stuleci pasterze krów we Frankonii i Szwarzwaldzie używali tego stroju dla ochrony przed deszczem. Może stanie się on natchnieniem dla twórców mody?

Fot. — CAF



Pletwonurkowie amerykańscy nie zrażają się zimą i tre- nują nawet pod lodem...

Fot. — CAF



WISZĄCE ZNACZKÓW



W ubiegłym roku obradował w Bru- kseli Kongres Międzynarodowej Fede- racji Filatelistycznej — FIP, w którym brali udział przedstawiciele filatelistów 20 państw. W czasie obrad przyjęty zo- stał jednogłośnie wniosek Polski, doty- czący obchodzenia — „Dnia Znaczką”.

Wyżej reproduujemy 2 znaczki, wyda- ne przez pocztę węgierską z tej okazji. Ponieważ uroczystość była organizowa- na wspólnie przez filatelistów Polski i Węgry — na znaczkach przedstawiono dwóch słynnych kompozytorów obu kra- jów — Chopina i Lisztę.

mgr L. K.

MIĘDZYLESI HISTORIA ciekawostki

MIASTKO (powiat Leszno) — w r. 1447 pisało się Myasthko, w r. 1469 Myastko — jak z samej nazwy wynika, był to kandydat na miasto, ale jakoś „nie wy- szło”.

MIĄSKOWO — jedno w powiecie średz- kim, drugie w powiecie leszczyńskim (od „miesić” — rozczyniać, rozgniatać). To ostatnie już istniało w roku 1396, miesz- kał tam „Maszkofszky”. To nazwisko — to ofiara ortografii XIV wieku.

MIESZKÓW (w powiecie jarocińskim) w roku 1390 miał już kościół, w r. 1397 dziedzica Wymira, 56 lat później Bye- nyake vel Benediktusa. Musieli się tu hurmem zwalić Niemcy w XV wieku, bo w aktach roku 1505 zapisano „willa Myszskowo Nyemeczkye, ubi est eccle- sia (wieś Mieszkowo Niemieckie, gdzie jest kościół)”. Nazwa od Mieszka — nie tego od pieniędzy, ale z „rodu niedź- wiedz”, imię to nosił także pierwszy król Polski.

MIĘDZYLESI jest kilka: w powiecie tureckim, w konińskim, trzcianeckim, węgrowskim. Najstarsze zdaje się być w powiecie obornickim. W roku 1280 da- rował je Przemysław II Rogoźnu.

ły ich zaciekawione, czasem drwiące, czasem serdeczne u- śmiechy. Antoni oparł się cięż- ko o ladę i ujął rękę Blooma, wyciągniętą na powitanie.

— Daj jakąś wódkę. Obleje- my powrót.

— Pierwszą kolejkę ja sta- wiam — zastrzegł Bloom.

— Mario, nie napijesz się?

Podniosła na niego powoli oczy. Zauważył, że jest w niej jeszcze jakieś ziarno uroku.

Bloom nalewał i krzątał się wokół bufetu. Co chwila jed- nak podchodził do nich, pytał się lub rzucił jakąś uwagę. Wy- soka odrapana sala zapiełniała się coraz bardziej. Na parkie- cie, który był częścią zwy- kłej podłogi uwolnionej ze sto- lików, w szybkim rytmie po- drygiwało kilka par. Antonio mrucząc powieki przypominał sobie czas, zdałoby się nie tak dawny, gdy i on w ciągu jed- nej nocy poznał wszystkie te rozkosze życia. W drzwiach stanęła Julia Zápoteo z grupką

— Daj jakąś wódkę. Obleje- my powrót.

— Pierwszą kolejkę ja sta- wiam — zastrzegł Bloom.

— Mario, nie napijesz się?

Podniosła na niego powoli oczy. Zauważył, że jest w niej jeszcze jakieś ziarno uroku.

Bloom nalewał i krzątał się wokół bufetu. Co chwila jed- nak podchodził do nich, pytał się lub rzucił jakąś uwagę. Wy- soka odrapana sala zapiełniała się coraz bardziej. Na parkie- cie, który był częścią zwy- kłej podłogi uwolnionej ze sto- lików, w szybkim rytmie po- drygiwało kilka par. Antonio mrucząc powieki przypominał sobie czas, zdałoby się nie tak dawny, gdy i on w ciągu jed- nej nocy poznał wszystkie te rozkosze życia. W drzwiach stanęła Julia Zápoteo z grupką

wielbicieli. Spojrzała drwiąco na Marię, nie odpowiedziała na powitanie Antonia. Szła w stro- nie baru, krok przed nim skre- cili i stanęli obok. Chłopak od- wrócił się i powiedział głośno:

— Patrzcie, kulawiec i świa- tobliwa brzydula też przyszedł potańczyć!

Antonio przysunął się do nie- go powoli i uderzył. Chłopak wstał spod stolika przytrzy- mując dłoń skraj policzka.

Bloom położył na ladę wyjęty z szuflady stary bebenkowiec.

— Spokój! — krzyknął. Rzu- cona moneta zataczała coraz mniejsze kęgi po mokrym bla- cie, zatrzymała się na pudełku zapatek i drżała jeszcze oparta o jego krawędź. Antonio ujął Marię pod ramię.

— Idziemy!

Wrócili na zagubiony kon- tyment, z powrotem odnalezio- ny. Zatrzymywali się co kilka kroków nic nie mówiąc. Nie wiedział wtedy czy patrzy w głęboką noc, czy w oczy Marii.

Przekład autoryzowany JACKA GŁĄŻEWSKIEGO